Socjaliści w Brańszczyku i Długosiodle, terminarz jarmarków w powiecie ostrowskim, marsz z Siedlec do Zambrowa, poświęcenie pomnika w Wilczogębach

Wstępem, przypisami i ilustracjami opatrzył Jerzy Madzelan.
Ilustracja wyróżniająca opracowanie:
Wilczogęby, 3 września 1933 r. Uroczystość poświęcenia pomnika ku czci poległych w wojnie z bolszewikami żołnierzy sadowieńskiej placówki Polskiej Organizacji Wojskowej[1].

Zdaniem autora zacytowanej notki prasowej wybuchowa sytuacja polityczna panuje w Brańszczyku, gdzie socjaliści zagnieździli się na stałe. Podobne zamiary mieli lewicowcy odnośnie do Długosiodła, ale tamtejszy wikary nakłonił lud pobożny, by przepędził agitatorów na cztery wiatry.

W odpowiedzi na liczne prośby czytelników z powiatu ostrowskiego, pragnących nabywać towary świeże i w rozsądnej cenie bezpośrednio od producentów, zamieszczamy terminarz jarmarków.

Towarzyszymy żołnierzom 22 Pułku Piechoty z Siedlec, w ich marszu ku Zambrowowi, gdzie mają wziąć udział w letnich ćwiczeniach. Trasa wiedzie przez Suchożebry, Sokołów, Paulinów, Sterdyń i Ceranów. Pierwszy etap marszruty kończymy w gościnnym Nurze.

Władysław Wycech (brat wielce zasłużonego dla okolicy Czesława) mieszkaniec nadbużańskiej wioski Wilczogęby stał na czele Polskiej Organizacji Wojskowej w gminie Sadowne, a młodzi mieszkańcy z tej wsi stanowili trzon sadowieńskiej placówki POW. We wrześniu 1933 r. odsłonięto w Wilczogębach obelisk ku czci miejscowych Peowiaków, poległych w wojnie z bolszewikami. Uroczystości ściągnęły nie tylko oficjeli, ale i tysięczne tłumy mieszkańców okolicy. Interesująca jest historia umieszczonej na obelisku tablicy:

> Tuż przed zajęciem wsi przez Niemców mieszkańcy z obawy przed jej zniszczeniem zdjęli tablicę i ukryli ją w obejściu Czesława Puściona, gdzie przetrwała okres okupacji. Po wojnie uznali, że władze komunistyczne mogą ją również zniszczyć i nie przywrócili jej na dawne miejsce na pomniku. Zmieniono tylko miejsce jej ukrycia na dom Stefana Wycecha. Dopiero w latach 1990-tych wyjęto ją z kryjówki i przekazano do Muzeum Ziemi Sadowieńskiej.
> Do 1967 r. obelisk był pozbawiony jakiejkolwiek tablicy. W 1967 r. urodzony w Wilczogębach ówczesny Marszałek Sejmu PRL Czesław Wycech, ufundował nową tablicę poświęconą pamięci mieszkańców wsi Wilczogęby, którzy w latach 1918-1945 oddali życie za Ojczyznę, za wolność i sprawiedliwość społeczną. Umocowano ją bez żadnych uroczystości. Na tablicy tej obok Józefa Wycecha umieszczone zostały nazwiska 16 ofiar II wojny światowej. Dopóki w Wilczogębach funkcjonowała szkoła podstawowa, jej uczniowie sprawowali opiekę nad Pomnikiem. Później poszedł nieco w zapomnienie.
> Swoje znaczenie odzyskał on dopiero przy okazji obchodów 500-lecia Wilczogąb w 2004 r., kiedy umieszczono na nim replikę oryginalnej tablicy z 1933 r.[2]

[1] Stanisław Stebelski, *Pomnik POW w Wilczogębach*, na portalu INFO SADOWNE.
[2] Tamże.

Zapewne zdziwi czytelników fakt, że mamy styczeń, a myśli Zenka, naszego redakcyjnego kolegi prawie wyłącznie zaprząta trawnik. Wszyscy wiedzą, do czego służy zdrowemu mężczyźnie komputer i jakie z jego pomocą ogląda obrazki. Nie dotyczy to jednak Zenka. Już w środku zimy jego monitor okupują najnowsze środki chwastobójcze, nawozy wspomagające wzrost trawy, systemy nawadniające i przeróżne narzędzia do pielęgnacji, choć nie ma zapewne takich, których Zenek nie byłby już posiadaczem. Zenek jest mianowicie trawnikowym maniakiem, choć sam woli używać terminu „pasjonat".

Nasz redakcyjny kolega jest zafiksowany na punkcie porządkowania sporego kawałka zieloności w swym ogrodzie. Zaprowadził tam niemal pruski porządek, okiełznując dzikie, szalone siły przyrody. Może zenkowy trawnik to jedyne miejsce we wszechświecie, które nie podaje się nieuchronnemu wzrostowi entropii, czyli chaosu? Gdzieś tam, poza granicami tej murawy trwają wojny, wysoko nad trawnikiem zderzają się galaktyki i czarne dziury, a tu nic – tylko cisza i spokój. Ten trawnik to istne sanktuarium i aż dziw, że nie ciągną tam jeszcze rzesze pątników… i dobrze, że nie ciągną, bo przecież Zenek nie pozwoliłby im wkroczyć na trawnik.

Opieka nad tym dziedzictwem światowego ogrodnictwa to walka i powołanie. Ileż to razy musiał Zenek besztać swe własne dzieci za granie w piłkę na uświęconym miejscu, a teraz krzyczeć i odganiać wnuki, by nie jeździły rowerkami po dziele jego życia.

Sam wkracza na trawnik tylko wówczas, gdy jest to bezwzględnie konieczne. Wypatrując chwastów, obserwuje trawnik przez lornetkę. O drżenie rąk przyprawia go myśl, że mógłby tam się pojawić wróg najgorszy… Zenek nie chce nawet nazwy tego emisariusza piekieł wymawiać, ale my zdradzimy, że chodzi o kreta… tfu… tfu... a kysz… skuś baba na dziada. Zenek jest człowiekiem łagodnym, ale gdyby demon zwany kretem się objawił, to zlikwidowałby drania. Lornetkę ma dobrą, Zeissa, kupioną za bezcen od jakiegoś byłego sowieckiego żołnierza, którzy przywiózł ją z nieboszczki NRD.

Zenek ma ukochanego psa, ale nie wpuszcza Dodo na trawę, by ten nie kalał świętości. Dodo biega wprawdzie po ogrodzie, ale wymyślny system zagród, śluz, ogrodzeń odseparowuje milaka od murawy. Zenek wychodzi zresztą z psem na spacer kilka razy na dobę, także nocną porą. Wyprawiając najdziksze brewerie, może Dodo niszczyć do woli publiczną, a zatem niczyją murawę. Inna sprawa, że stan tej murawy jest taki, że nie zasługuje na miano trawnika.

Zenek uległ namowom swej małżonki, która nalegała na budowę w ogrodzie altany. Wytyczył budowlańcom specjalną, skomplikowaną, pełną zawijasów ścieżkę, tak by ich buciory nie zdeptały choćby źdźbła trawy. Pewnego popołudnia doszło do katastrofy. Zenek zauważył, że po umyciu narzędzi, robotnicy wylali wodę bezpośrednio na murawę, a jakby tego świętokradztwa było mało, to z trawnika wołała o pomstę, długa na dwa metry, a głęboka na cztery centymetry szrama – rana wywołana przejazdem taczki. Tego już było stanowczo za dużo. Zenek doznał pierwszego w swym życiu zawału.

Po powrocie do zdrowia natychmiast podjął próbę reanimacji trawnika, a gdy ta odniosła pewny skutek, to przystąpił do jego długotrwałej rehabilitacji. Laikowi może się wydać, że zabiegi były udane, bo trawnik w skalanym miejscu nie różni się niczym od innych zielonych połaci – nie ma co ukrywać, że naczelny z redaktorką Beatą także ulegli złudzeniu. Zenek jest jednak perfekcjonistą, a w dodatku posiadaczem ustrojstw umożliwiających oglądanie świata w podczerwieni i ultrafiolecie. Jego, uzbrojone w te urządzenia wprawne oko zauważa wyraźną różnicę w odcieniu trawy. Naczelny z Beatą żadnej różnicy wprawdzie nie dostrzegli, ale

ulegając perswazjom Zenka i nie chcąc wyjść na profanów, w końcu się poddali i zgodnie stwierdzili, że delikatna różnica da się zauważyć.

Nieszczęściom Zenka nie było jednak końca. Drugiego zawału dostał, gdy zaszła potrzeba przeprowadzenia przewodu elektrycznego na drugi koniec ogrodu. Wizja rozkopanego trawnika była dla redaktora nie mniej okrutna i odrażająca niż obraz człowieka, któremu z wielkiej rany na brzuchu wylewają się wnętrzności. Wolał skuć kawał podjazdowego betonu oraz zdemontować, a następnie ponownie zamontować ogrodzenie, niż naruszyć mir murawy. Operacja się udała, trawnik pozostał nienaruszony, ale że prawie wszystkie prace Zenek wykonał samodzielnie (powodowany smutnym doświadczeniem z budową altany), to serce harówki nie wytrzymało i ponownie odmówiło współpracy.

Żona Zenka należy do osób rozrywkowych i niegdyś lubiła urządzać letnie, weekendowe imprezy. Rzecz jasna, Zenek ich nie znosił, gdyż mimo błagań, zawsze jakiś niesforny gość wkroczył na trawnik, a słowo „impreza" stało się dla Zenka synonimem destrukcji. Zdaje się, że z biegiem czasu imprezowicze zaczęli nawet odnajdywać dziką radochę w ignorowaniu próśb Zenka. Nic zatem dziwnego, że Zenek zaczął ich traktować jako osobistych wrogów, terrorystów, dżihadystów, którzy wydali świętą wojnę jego murawie. Przywrócenie po każdej imprezie ukochanego dziecka Zenka, znaczy się trawnika, do stanu, prawie że idealnego wymagało ogromnego nakładu pracy i środków. „Prawie", bo czasami minęło i pół roku od biesiady, a Zenek, z użyciem wspomnianych, wyrafinowanych urządzeń z radzieckiego demobilu, odnajdował pośród źdźbeł trawy ślady papierosowego popiołu i fusów z kawy.

Wszystko to przyprawiało naszego kolegę o nowe troski, wywoływało stres i ból serca, a lekarz autorytatywnie ostrzegał, że jeszcze dwie trzy takie bibki, a serce nieszczęsnego ogrodnika znajdzie ukojenie dwa metry pod ziemią. Aby zwiększyć szanse Zenka na przetrwanie, nie pozostało nic innego, jak zmienić tryb życia. Małżonkowie stali się parą przygnębionych odludków, bo przecież konieczność wyrzeczeń ze strony żony także Zenka przyprawiała o zgryzotę. Na szczęście mamy Naczelnego! Wielkim pocieszeniem, wręcz ratunkiem stał się jego terapeutyczny wywód, którym dowiódł, że nie ma na świecie ludzi szczęśliwych, a choćby i w pełni zadowolonych.

Kiedyś, na wielkiej, zatłoczonej, dusznej i przegrzanej sali jakiegoś lotniska, Naczelny obserwował następujące scenki socjologiczno-transportowe. Wybuchł wulkan, więc doszło do wielogodzinnych opóźnień w lotach, także tego Naczelnego. Współtowarzysze podróży z klasy ekonomicznej, znaczy się plebejusze (często hojnie obdarzeni pociechami), byli niezadowoleni, że linie lotnicze nie zaoferowały im choćby wody w styropianie (w lotniskowym barze wyceniono kubek wody, na równowartość dniówki wziętego prawnika). Odczuwający suchość w gardle Naczelny przypomniał sobie, że chyba uzbierał wystarczającą ilość punktów za przelatane mile, aby skorzystać z usług świadczonych w saloniku dla szczęśliwców z pierwszej klasy. Skierował tam swe kroki i ujrzał publiczność zwilżającą gardła m.in. wodą mineralną i szampanem. Mylisz się czytelniku, sądząc, że byli to ludzie zadowoleni. Głośno wyrażali swoje zniesmaczenie z powodu serwowania wody lokalnej, rozlewanej wprawdzie do gustownych szklanek, ale z nieekologicznych, plastikowych butelek. Gardła tej wyrafinowanej publiki są bowiem przystosowane wyłącznie do picia wody typu *Perrier*, rozlewanej z butelek szklanych. Nie inaczej było z szampanem, a raczej podróbką tego szlachetnego trunku. Oczekiwali *Dom Pérignon*, a otrzymali jakieś *Prosecco* – tylko wrodzona i nabyta kultura powstrzymywała tych wybrańców losu od plucia na perskie dywany (publiczność z klasy ekonomicznej zapewne by

się nie krępowała, więc nie jest wpuszczana do saloników wyścielanych dywanami). Zatem sprawa jest prosta – jeszcze się taki nie urodził, co by wszystkim dogodził. Trudno więc, aby Zenek był wyjątkiem i dogodził swej żonie.

Po przekonaniu się, że nie ma na świecie ludzi zupełnie szczęśliwych, a choćby i zadowolonych, małżonkowie Zenkowie odetchnęli, a na ich twarzach zagościł uśmiech. Teraz żyją w miarę beztrosko i dosyć szczęśliwie, czyli w sam raz.

Jeszcze sprawa związana z redakcyjną pocztą. Jeden z czytelników – mylnie uznający naszych redaktorów za ekspertów w sprawach historii regionu – pyta, czy to prawda, że słynny pisarz, reportażysta, dziennikarz, publicysta Melchior Wańkowicz spędzał letnie miesiące nad Liwcem, w miejscu zwanym Nadliwiem vel Strachowskimi Górami, a jeżeli to prawda, to jak tam dojechać? Na pierwszą część pytania odpowiadamy, że to prawda, a poza konkursem dodajemy, że sąsiadował z Danutą i Szymonem Kobylińskimi, pani zaś Danuta, dowoziła gospodyni pana Melchiora mięso z Warszawy, gdy na rynku lokalnym występowały przejściowe (ok. 40 lat) braki. Pewne problemy sprawiła nam odpowiedź na drugą część pytania, więc posiłkujemy się cytatem z przewodnika: „z szosy prowadzącej z Wyszkowa skręcić w polną drogę tuż przed mostem rzeki Liwiec, jechać prosto, potem lekko w prawo, wybrać jedną z trzech rozwidlających się dróżek (właściwą!), znowu prosto, zaraz potem w prawo, przeciąć drogę leśną i wjechać na polankę […] pójść ukrytą, wąską ścieżką pod górę… i oto wyrasta przed nami duży, prawdziwy, najprawdziwszy w tym pustkowiu dom”[3].

Rok 1944. Korespondent wojenny 2 Korpusu Polskiego Melchior Wańkowicz (3. z lewej) w towarzystwie nierozpoznanych osób ogląda pole bitwy o Monte Cassino.
Źródło: Narodowe Archiwum Cyfrowe, zesp. Archiwum Fotograficzne Tadeusza Szumańskiego, sygn. 24-298-2.

[3] Aleksandra Ziółkowska, *Blisko Wańkowicza*, Kraków 1975, s. 7-8.

[„Naród : pismo codzienne”, nr 74 z 29 marca 1907 r.]

Z Długosiodła Łomżyńskiego. (Kor. wł.). Dziwne zaiste w naszej okolicy panują stosunki. Inne miejscowości zakładają rozmaite stowarzyszenie, pracują usilnie nad uświadomieniem siebie, a u nas cicho. Stan kulturalny i oświatowy w naszym zakątku znajduje się w strasznym zaniedbaniu. W ubiegłym roku osiedlili się socjaliści w pobliskim Brańszczyku na stałe i stamtąd prowadzili agitację pomiędzy naszym ludem.

Najgłówniej znajdowali sobie zwolenników zapewnieniami, że wszyscy wyznawcy socjalizmu otrzymają ziemię. Przeważnie pod ich sztandar garnął się biedny lud. Ciemni biedacy ślepo wierzyli prowodyrom socjalistycznym, nic nie robili, szeroko rozpowiadając o tym, że wkrótce nastąpi równy podział majątkowy. Rozpanoszenie się socjalistów u nas doszło do tego stopnia, że prowodyrowie ich urządzili w Długosiodle manifestację socjalistyczną z czerwonym sztandarem i śpiewami socjalistycznymi. Manifestacja była szumna, lecz nie osiągnęła swego celu, wpłynął zaś na to głównie miejscowy wikariusz. Przemówienie jego, w którym dokładnie wyjaśnił, czym jest obecny socjalizm, taki wywarło wpływ na manifestantów, że wielu z nich rzuciło się na prowodyrów, aby podrzeć im sztandar. Prowodyrowie ze wstydem uciekli, unosząc ze sobą swe godło. Od tego czasu stracili socjaliści wiarę u naszego ludu.

Lud tutejszy jest dobry, ale dziś jeszcze bardzo ciemny. Gazet nie czyta, czas zaś wolny przepędza chętniej przy kieliszku i kuflu, aniżeli nad książką.

Ludzi chętnych do pracy nad ludem u nas nie ma prawie wcale, a niektórzy nawet spośród naszej wiejskiej inteligencji, jak np. jeden z nauczycieli i pisarz gminny, przeważnie przepędzają czas w karczmie, a myślą tylko nad tym, skąd by dostać pieniędzy na wódkę. Mamy jednak nadzieję, że lud nasz ocknie się nareszcie z tego uśpienia, a pomyślą szerzej o tym ci, którym oświata ludu leżeć powinna na sercu. Dziś już istnieje zamiar założenia Koła Macierzy i Kółka Rolniczego.

[*Mazur : kalendarz na rok przestępny 1908*, wydawnictwa gazety „Mazur”]

JARMARKI
w gub. płockiej i okolicznych

Powiat ostrowski.

Ostrów, jarmarków 7 w poniedziałki: po św. Błażeju w półpoście, po św. Stanisławie, po Bożym Ciele, po Matce Bożej Siewnej, po św. Jadwidze, po św. Feliksie Walezjuszu.

Andrzejewo, jarmarków 6 w poniedziałek: po św. Kazimierzu, po Wniebowstąpieniu Pańskim, po św. Piotrze i Pawle, po św. Bartłomieju, po św. Franciszku Serafickim, po św. Marcinie.

Brok, jarmarków 5 w czwartki: po św. Agnieszce, po św. Grzegorzu, po św. Małgorzacie, po św. Michale, po św. Łucji.

Czyżew, jarmarków 6 we wtorki: po św. Macieju, po św. Stanisławie, po św. Jakubie, po św. Michale, przed św. Szymonem i Judą, po Niepokalanym Poczęciu N. P. Marii.

Nur, jarmarków 5 w środy: po św. Pawle Pustelniku, po Niedzieli Środopostnej, po św. Zofii, po N. P. M. Szkaplerznej, po św. Jadwidze.

[„Gazeta Podlaska", nr 35 z 9 września 1923 r.]

Z ŻYCIA 22 P. P.

Okres letni w czasie pokoju jest dla wojska okresem większych ćwiczeń polowych, które z jednej strony zmuszają żołnierza do zastosowania w warunkach zbliżonych do rzeczywistych warunków bojowych wszystkich wiadomości teoretycznych, nabytych w czasie szkolenia w okresie zimowym, z drugiej strony są sprawdzianem gotowości bojowej wojska i przygotowania dowódców do przyszłej ich roli, wreszcie mają na celu przygotowanie żołnierza do życia obozowego. Gdy więc większość „cywilów" spędza czas na letniskach, wypoczywając po całorocznej pracy, żołnierz w czasie swych „wakacji" maszeruje, naciera, szturmuje, dokonuje wywiadów, a w krótkich chwilach spoczynku zażywa sielanki na postojach.

W myśl tych zasad i zwyczajów, a z rozkazu władz wyższych i nasz 22 p. p. wyruszył z Siedlec na ćwiczenia do obozu w Zambrowie. Niech mi nie mają za złe Siedlczanie, a zwłaszcza Siedlczanki, gdy powiem, że wyruszaliśmy z radością, a cieszyliśmy się perspektywą spędzenia kilku tygodni wśród lasów i pól, z dala od jednostajnego życia garnizonowego, w warunkach, które wszystkim nam miały przypomnieć tak niedawne, lecz już nieco zatarte w pamięci czasy wojny. Niejednemu z nas wprawdzie, bez względu na szarżę, markotno było wyjeżdżać z Siedlec, bo piękne Siedlczanki niejedno serce wzięły w jasyr, ale ci „smutni" pocieszali się nadzieją rychłego powrotu.

Wyruszyliśmy w kierunku na Sokołów, mając do przebycia około 100 kilometrów. Marsz miał trwać 4 dni, przy czym w ostatnim dniu oczekiwało nas spotkanie pod Zambrowem z „wielce przebiegłym i zaciekłym przeciwnikiem", którego trzeba było zwyciężyć, aby potem spocząć w zdobytym Zambrowie.

Z Siedlec wymaszerowaliśmy wieczorem. Nasi chłopcy, szczerze zadowoleni z tego, że na kilka tygodni opuszczają koszary i zobaczą szerszy świat, maszerowali dziarsko i śpiewali tak głośno, że przebudzeni mieszkańcy Strzały, Chodowa, Woli Suchożebrskiej, Podnieśna i innych wiosek leżących na linii naszego marszu, wybiegali z domów i z przerażeniem zapytywali, czy nie idziemy na wojnę. Uspokojeni przez nas, dopytywali się, jaki to pułk, a słysząc, że to 22 p. p., szukali swych niedawnych dowódców i kolegów z wojny.

Nad ranem doszliśmy do Sokołowa i po krótkim odpoczynku ruszyliśmy dalej. Dzień to był jarmarczny, więc Sokołów roił się od ludzi, którzy z zaciekawieniem nam się przyglądali, bo w tych stronach nie ma zupełnie wojska, więc dla spojonego mieszkańca widok to niepowszedni. Nasi chłopcy, widząc takie zainteresowanie „cywilów", nie żałowali nóg, wybijając sprężysty krok po falistym bruku sokołowskim i wyśpiewując najpiękniejsze piosenki z wojskowego repertuaru, tak bogatego dzięki pomysłowości i płodności kompozytorów pułkowych.

Minęliśmy wreszcie Sokołów i po paru godzinach dotarliśmy do Kupientyna, gdzie miał nastąpić wielki postój i obiad. Zakwaterowaliśmy się w stodołach z pięknym zamiarem przespania się na sianie, lecz zamiary nasze spełzły na niczym, okazało się bowiem, że humor i niewyczerpana pomysłowość w żartach i konceptach kilku naszych kolegów są silniejsze od zmęczenia, więc zamiast snu, zapanowały w stodołach gwary i śmiechy, spowodowane takimi nieraz figlami, że nawet najpoważniejsi, mimo woli wzięli w nich udział i stopniowo staliśmy się podobni do gromadki rozdokazywanych kadetów. Nawet „smutni" zapomnieli na chwilę o swych troskach sercowych. Zwłaszcza wiele wesołości wywołał koncept jednego z naszych bardzo sympatycznych kolegów, polegający na tym, że wprowadzono w błąd naszego doktora, przynosząc do niego nosze polowe z „ciężko chorym", którym był mundur wypchany sianem i pokryty kocem. Doktor, na widok pierwszej ofiary manewrów, szybko zerwał się ze swego wygodnego posłania i schwyciwszy torbę z podręcznymi narzędziami i lekami, pospieszył na ratunek, wtedy dopiero było dużo śmiechu, gdy zamiast chorego znalazł na noszach manekin. Nie brak było i innych żartów, których na wołowej skórze by nie spisał, a które świadczyły o tym, że młodość i dobry humor drwi sobie z trzydziestokilometrowych marszów.

Z przyjemnością stwierdzam, że ludność wiejska, wszędzie, gdzie wypadały nam postoje, niezwykle życzliwie i gościnnie nas przyjmowała, zapraszając do siebie. Było to dla nas tym bardziej miłe, że stanowiło jaskrawy kontrast z nieżyczliwym i nieufnym stosunkiem ze strony ludności, z jakim zaledwie rok temu spotkaliśmy się podczas pobytu na Białej Rusi.

Po trzygodzinnym pobycie w Kupientynie ruszyliśmy dalej, idąc wciąż szosą. Krajobraz się zmienił, wkroczyliśmy na najbogatszą część ziemi siedleckiej, gdzie piękne urodzaje, dobrze zabudowane wioski i dwory świadczyły o lepszych niż u nas warunkach bytu.

Szkoła podoficerska batalionu zapasowego 22 Pułku Piechoty wiosną 1920 roku.
W środku siedzi kpt. Wacław Kostek-Biernacki, dowódca batalionu.
Źródło: *22 Pulk Piechoty, Siedlce, Poland, Public domain, via Wikimedia Commons*.

Zbliżaliśmy się ku Sterdyni, znanej czytelnikom „Gazety Podlaskiej" z opisów doktora Jarosińskiego. Nad wieczorem dotarliśmy do Paulinowa, stanowiącego jeden z folwarków klucza sterdyńskiego. Tu niezwykle gościnnie i serdecznie przyjmowali nas państwo Góreccy, rodzice naszego kolegi, tu także nocowaliśmy, a nazajutrz o świcie ruszyliśmy ku Sterdyni.

Nie będę się silił na opisywanie Sterdyni i jej okolic najprzód dlatego, że nie umiałbym dokonać tego tak wszechstronnie i dokładnie jak dr Jarosiński, po wtóre krótki postój i szybki marsz nie pozwoliły mi na bliższe poznanie tego pięknego zakątka ziemi podlaskiej. Stwierdzam tu tylko, że miasteczko Sterdyń posiada przeważnie żydowską ludność i doskonałe bułki, i kiełbasę – to też z wielkim apetytem zajadaliśmy je w miejscowej „restauracji". W okolicy Sterdyni rzuca się w oczy mnóstwo drzew, którymi obsadzone są drogi i które rzucone grupami po polach, tworzą malowniczy widok. Znać tu czyjąś troskę o drzewa. Bardzo często przy drogach spotyka się tabliczki z wymownymi i pomysłowo ułożonymi napisami, nawołującymi ludność do opieki nad drzewkami. Nie udało się z braku czasu stwierdzić, kto jest inicjatorem tego pięknego dzieła, lecz należy mu się uznanie za szerzenie zamiłowania do hodowli roślin i poszanowania dla własności publicznej, jaką stanowią drzewa przydrożne.

Nie mogę tu nie wspomnieć o wzruszającym dowodzie sympatii, jaką cieszy się wojsko wśród ludności, którego doznaliśmy podczas przemarszu przez dużą wieś, leżącą przy szosie przed Paulinowem. Przechodziliśmy przez tę wieś już o zmroku i gdy zbliżyliśmy się do rozległego dworu, na nasze spotkanie wyszła grupa kilku osób, między którymi były panie z kwiatami. Usłyszeliśmy na naszą cześć wzniesione okrzyki i zostaliśmy obdzieleni mnóstwem pięknych goździków, a było ich tak dużo, że każdy z żołnierzy przypiął kilka do rogatywki. Dziękowaliśmy za tak piękne przyjęcie, które tym bardziej było dla nas miłe, że zupełnie niespodziewane i jak widać urządzone odruchowo bez przygotowań i namysłu, a więc szczere. W tej samej wsi ludność spotkała nas okrzykami i wiwatami.

Minęliśmy zasobny Ceranów, gdzie rzuca się w oczy dość pokaźna liczba nowych domostw murowanych i oto krajobraz się zmienił. Żyzne pola uprawne zaczęły ustępować miejsca rozległym łąkom, przerywanym piaszczystymi wydmami i mokradłami porosłymi wierzbiną i olszyną, co zwiastowało nam bliskość Buga. Na łąkach gęsto rozstawione szopy na siano czynią z daleka wrażenie wsi.

Wkrótce poczuliśmy chłodny powiew i przed nami błysnęła stalowa wstęga Buga – tej pięknej i największej rzeki Podlasia. W pół godziny potem przemaszerowaliśmy przez długi most drewniany i weszliśmy w granice ziemi łomżyńskiej. Było południe, gdy wkroczyliśmy do Nura. Tu nastąpić miał postój. Chłopcy nasi po dość długim marszu oczekiwali z upragnieniem na sygnał wydawania obiadu, który dymił się w kuchniach polowych. Zalecam wszystkim cierpiącym na brak apetytu, spróbować zamiast leków – marszu w pełnym rynsztunku, a ręczę, że marsz taki powróci im apetyt i zmusi do zjedzenia ogromnej ilości „polskiego ryżu" z mięsem i słoniną lub innego wojskowego przysmaku.

W Nurze zakwaterowaliśmy się w stodołach. Nam przypadła w udziale stodoła księdza proboszcza jako bardziej luksusowo urządzona. Dzień zeszedł na różnych czynnościach jak czyszczenie i przegląd broni, i ekwipunku, kąpiel w Bugu, przegląd nóg itp. Dopiero nad wieczorem udaliśmy się na zwiedzanie miasteczka Nura. Miasteczko to starożytne i posiadające dość bogatą przeszłość historyczną. Dziś zamieszkałe przeważnie przez Żydów, niczym się nie różni od wielu naszych małych miasteczek. Godne uwagi są tu kościół i dość duży budynek murowany w rynku, mieszczący spółdzielnię, ochronę i czytelnię.

Wieczór spędziliśmy u niezwykle gościnnego proboszcza Wiszniewskiego, który całą naszą liczną gromadkę zaprosił na sutą kolację, zastawioną pod drzewami w ogrodzie, bo szczupłe probostwo nie mogło pomieścić tylu gości. Nazajutrz o świcie opuściliśmy gościnny Nur i ruszyliśmy szosą w kierunku Czyżewa.

(D. c. n.)

[„Nowa Gazeta Podlaska", nr 37 z 1933 r.]

Pomnik poległych peowiaków w Wilczogębach

W dniu 3 września br. odbyło się w Wilczogębach pow. [gm.] Sadowne, uroczyste poświęcenie pomnika poległych peowiaków. Na uroczystość powyższą licznie przybyła ludność i organizacje z bliższych i dalszych okolic w liczbie około 3000 osób.

Odsłonięcia pomnika dokonał Starosta Węgrowski p. Wiszniewski, po czym nastąpiły przemówienia. Kolejno przemawiali p. starosta, p. mjr. Sieracki w imieniu 22 p. p., p. red. T. Zemlich, delegat Zarządu Okręgu Związku P.O.W. w Siedlcach, Inspektor Szkolny z Węgrowa p. Górski. Poza tym w uroczystości udział wzięli delegaci Zarządu Okręgu Związku P.O.W. wraz ze sztandarem, szkoły z Gminy Sadowne, straże pożarne, Związek Strzelecki, rezerwiści z pow. Ostrów-Maz. i wielu innych. Między innymi brał także udział w uroczystości delegat Zarządu Związku Strzeleckiego z Warszawy. Delegaci złożyli kilkadziesiąt wieńców u stóp nowo odsłoniętego pomnika. Po czym powzięto rezolucję celem wysłania depesz hołdowniczych do Pana Prezydenta Rzeczypospolitej i Pana Marszałka Józefa Piłsudskiego. Uroczystość zakończyła się defiladą.